

marcin

miejsce | Wolski dla dwojga



W SERII Z ZEGARKIEM

Artur Baniewicz Góra Trzech Szkieletów

Artur Baniewicz Drzymalski przeciw

Rzeczpospolitej

Anna Bojarska List otwarty do królowej

Wiktorii

Anna Bojarska Ja

Anna Bojarska Bóg pali cygara

Anna Bolecka Concerto d'amore

Max Cegielski Apokalipso

Mariusz Cieślak Śmieszni kochankowie

Witold Horwath Seans

Grażyna Jagielska Korespondent

Marek Kochan Ballada o dobrym dresiarzu

Krystyna Kofta Krótka historia Iwony Tramp

Marek Ławrynowicz Pogoda dla wszystkich

Zygmunt Miłoszewski Domofon

Tomasz Mirkowicz Pielgrzymka do Ziemi

Świętej Egiptu

Hanna Samson Pułapka na motyla

Jerzy Sosnowski Apokryf Aglari

Jerzy Sosnowski Linia nocna

Marcin Wolski Alterland

Marcin Wolski Ekspiacja

Piotr Zaremba Plama na suficie

MARCIN WOLSKI

MIEJSCE DLA DWOJGA







marcin
miejsce | **Wolski**
dla dwojga



Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2005
Wydanie I
Warszawa 2005



...I będą dwoje w jednym ciele.
(z Listu św. Pawła do Efezjan)





I (Marek)

Czy zdarza się wam, że ranek, ze swej natury rześki jak górski potok, nie ma barw ani zapachów i przypomina raczej starą fotografię, która nie wie, czemu owinęła was niczym twarda papierowa tutka? Dźwięki, jeśli nawet jakieś dochodzą, zdają się przytłumione, odległe, brzmia, jakby były odtwarzane z zepsutego adaptera, czasem prędko, piskliwie, albo grzęzną w nienaturalnych basach. Jeśli ktoś kiedykolwiek tego doświadczył, doskonale wie, że to jedynie pozory, sen mara i jeśli nie ulegniemy panice, jest w naszej mocy przywrócić pełną paletę kolorów, jesteśmy w stanie sprawić, by zabrzmiał koloraturowy tryl skowronka, a nawet możemy usłyszeć bicie własnego serca, którego nie ma. Potrafimy zresztą wiele więcej, ale nikomu nie radzę, aby znalazł się w podobnej sytuacji i próbował badać swoje możliwości.

Jeśli idzie o mnie, nie jestem w stanie jedynie zapanować nad smakiem i zapachem. Gdy usiłuję przywołać nieobecne wonie, ogarnia mnie fetor tak straszliwy, że wolę już sterylną bezwonność...

Zresztą furda zapach! Przecież lecę. Znowu lecę! Tak, szybciej niż mucha (z Łodzi do Zgierza), ze sprawnością nietoperza dokonuję zwrotów w miejscu, wymijam przeszkody – druty linii wysokiego napięcia, wieże kościołów, płytkie misy anten satelitarnych. Tylko ten lot, namiastka wszystkiego, co utraciłem, sprawia, że nie poddaję się rozpacz, że nie wyję bezgłośnie, i nie płaczę bez łez. Poruszam się w przestrzeni, a moja myśl równie szybko dokonuje skoku w czasie, do tamtego poranku, do owego pierwszego lotu. Niezdarneho jeszcze, podszytego bardziej ciekawością niż przerażeniem. I znów jestem WTEDY! TAM! W moim mieście rodzinnym, tak chętnie opiewanym przez poetów i obśmiewanym przez mieszkańców reszty kraju. A ściślej mówiąc, ponad zapyziałymi uliczkami peryferii, gdzie zrujnowany barak, efekt budowlanej samowolki, sąsiaduje z nowobogacką rezydencją, i gdzie od stada betonowych klocków usiłuje oderwać się modernistyczna willa, która swoje najlepsze lata ma za sobą. Oglądam z góry ten pasjans dachów rodem z różnych wyświechtanych talii, *puzzle* grządek, strzeżonych przez wkopane opony lub paskudne krasnale, ową rasę karłowatych Świętych Mikołajów, rodem z byłej NRD, rachuję samochody czekające na przebudzenie swoich państwa jak stada kolorowych żuków. Cóż za zabawa! Szkoda tylko, że nie czuję powiewu wiosennego wiatru znad lasów, łąk i komina elektrociepłowni...

Mam pod sobą cały mój świat, lawiruję wśród szczytów topól, nie wywierając najmniejszego wrażenia na przysiadłych tam srokach, mijam linię torów rozdzierającą tę podmiejską makatkę na podobieństwo zamka błyskawicznego („Poociąg osobowy do Lublina przybędzie opóźniony

o trzysta dwadzieścia minut...”), szybuję ponad osiedlem przypominającym piętrowe szalety imienia Corbusiera, zostawiając w tyle kolejne etapy swego dorostania: żłobek, przedszkole, księgarnię, ośrodek zdrowia... Szukam wzrokiem ludzi, których znam, kolegów, którym mógłbym zaimponować podniebnymi ewolucjami – chwilę uwagi poświęcam domkowi Waldka Podgrzybka, zdobnemu niewielką wieżyczką. Wszystko jest tam na swoim miejscu, nawet nasza strzelnica w ogrodzie i warsztacik pirotechniczny, gdzie wspólnie próbowaliśmy produkcji prochu bezdymnego... Ech, Waldi! Chciałbym powiedzieć mu tyle rzeczy – ale przecież Waldek od dawna nie żyje. O jeden rozkręcany niewypał za dużo! Mijam obsypany tłuczonym szkiełkiem dom Joli, prymuski, która już w czwartej klasie nosiła w tornistrze encyklopedię. Nie wiem po co. Dla złapania środka ciężkości? Wiem natomiast, że umrze przed trzydziestką na niewydolność serca czy nerek, a może jedno i drugie. Skąd to wiem, nie mam pojęcia. Są po prostu takie sytuacje, kiedy wie się straszliwie dużo, choć jednocześnie tak mało. Może to jakaś wiedza pozarozumowa, iluminacja, olśnienie? Nie znam odpowiedzi, mam dopiero trzynaście lat, jestem na swój wiek drobny, podobno dziecinny, i jeśli nie liczyć pewnego wieczoru w Łazienkach, nigdy nie całowałem się z dziewczyną...

Pewnie nie będę.

Dzwonią dzwony na poranną mszę w klasztorze sióstr felicjanek. Idą siostrzyczki, poważne, wykrochmalone, modlić się za całe zło tego świata, za żywych i umarłych... Zwłaszcza za umarłych.

Naraz wyrasta przede mną moja szkoła, dwupiętrowy budynek wśród sosen, kryty czerwoną dachówką, z której

wystaje dziwaczny grzybek syreny alarmowej, pochodzący jeszcze z lat bardzo zimnej wojny. Obok po nocnym deszczu lśni asfaltowe boisko, okolone przez ławki. Ciec wstał już i leniwymi ruchami miotły zamiata schody prowadzące do internatu. Zastanawiam się, czy nie stracić mu z głowy nieodłącznego berecika z antenką. Ale odrzucam ten pomysł jako niewykonalny.

Poza tym nie mam już czasu. Zatoczyłem szeroki łuk, czuję, że muszę wracać.

Jasny pawilon szpitala, uchylone okno na pierwszym piętrze, korytarz... Oddział intensywnej terapii. Widzę mamę na krzeselku opodal drzwi. Skurczona jakaś, malutka, posiwiała. Waruje chyba piętnastą godzinę i wie to samo co ja, że umieram. Głupia sprawa! Wyciągnąć kopyta w wieku trzy-nastu lat. Tylko dlatego, że zabrakło mi wyobraźni. Nie wziąłem pod uwagę, że z bocznej ulicy może wypaść rozjeżdżony samochód i że zawiodą hamulce roweru...

*

Nie znałem większości ludzi, którzy przybyli na pogrzeb. Tożsamości niektórych ledwie się domyślałem. Dalecy krewni, znajomi, sąsiedzi, pan Hipolit, wieloletni adorator mamy z wydawnictwa Przekrój Świata, dyrektor Piątkowski z BPZM, redaktor Barczyk, kulawa pani Rozbicka spod jedenastki, wdowa Sierzputowska – nasza sąsiadka, nazywana przez mamę „pierwszym uchem ulicy”... Zarówno ci znani, jak i nieznanymi, sprawiający wrażenie przypadkowych żałobników zgarniętych przez kondukt z innych ceremonii pogrzebowych, tłoczyli się na rozmiękłym kwietniowym

śniegu, deptali pobliskie mogiły i nagrobki... Naraz uświadomiłem sobie, że wszyscy czekają, aż przemówię, dziesiątki oczu spoglądało na mnie na podobieństwo zaczepnych znaków zapytania. Nie zaskoczyło mnie to. Byłem przygotowany na taką okoliczność. Bałem się potwornie, ale wiedziałem, że muszę, że nikt i nic nie zdejmie ze mnie tego obowiązku. Popatrzyłem na księdza Kamila, zachęcająco skinął głową. Zacerpnałem powietrza i zacząłem mówić:

*Gdy samotność już na zawsze nas otoczy,
A dzień jasny będzie wielką czarną ścianą,
Jeden obraz może koić moje oczy,
Tym obrazem jesteś ty, kochana mamo...*

Mówiłem tak, mówiłem, a z każdą zwrotką czułem, że nikt nie słucha wiersza, że cała uwaga tego pogrzebowego tłumku skoncentrowała się na jednym – moim głosie, cieniem, rozedrganym głosie współczesnego eunucha.

Trzydzieści ostatnich lat, od 22 kwietnia 1989, kiedy ledwie uszedłem z życiem z katastrofy rowerowej, do 22 kwietnia 2002, kiedy mama umarła, przeżyłem dzięki niej. I dla niej. Osobiście nie widziałem wielu innych powodów, żeby żyć. Może poza ciekawością. Ta kołatała się we mnie nawet wówczas, kiedy 4 czerwca roku pamiętnego, pocerowany i obolały, po raz pierwszy zwlokłem się ze szpitalnego łóżka obserwować pacjentów śpieszących do wydzielonego punktu wyborczego w holu szpitala. Przeważali starcy. Ostatni rozbitkowie z okrętu międzywojnia, którzy dłużej niż Odys błakali się po obcych morzach i teraz dopiero rozpoznawali brzeg Itaki. Szli głosować z myślą o młodych Telemachach, doskonale wiedząc, że im samym nie przyjdzie długo grzać

kości w słońku demokracji. Nie rozumiałem jeszcze wiele z tego, co się działo, a jednak nie potrafiłem oprzeć się wrażeniu, iż świat, który dotąd znałem, przewraca się właśnie do góry nogami i nikt, nawet mama, nie był w stanie przewidzieć, jakie przygody staną się wkrótce udziałem wolnych Polaków.

Zresztą wtedy, na szpitalnym łóżku cieszyłem się głównie, że żyję. Że rany goją się, kości zrastają, a wizje towarzyszące mi podczas śmierci klinicznej stają się coraz mniej wyraźnym wspomnieniem. Przecież to, że będę inny, jeszcze do mnie nie dotarło. Właściwie długo skrywano przede mną fakt mojej niepełnosprawności. Ja sam, mimo mijających miesięcy i lat, dość długo liczyłem, że prędzej czy później głos mi zgrubieje, zacznę się golić, mój podbródek zrobi się bardziej kwadratowy, a spojrzenie twardsze.

Mama nie rozmawiała ze mną na ten temat. Ja zaś, kiedy moje podejrzania zaczęły się spiętrzać, przestałem pytać.

A potem obejrzałem film *Farinelli, ostatni kastrat*, przeczytałem książkę *Krzyk w niebiosach* Anny Rice i rozjaśniło mi się w głowie. Jeśli można nazwać rozjaśnieniem upadek w głąb królestwa mroku. Pojąłem, iż zostałem kaleką, szczególnym gatunkiem kastrata, który na zawsze zachował głos dziecka i utracił możliwość bycia ojcem, a zarazem nie pozbył się chęci kochania, podniecenia i pożądania, tym okrutniejszego, iż daremnego.

*Choć sto włóczni na wskroś serce mi przeszły,
Nie ulegnę desperacji próżnym łzom
Nie ma ciebie, lecz została twa miłość,
Co jak skała jest, jak pokarm, jak nasz dom...*

Dom? Właściwie przyjazne więzienie. Może azyl. Chyba najbardziej – dobrowolna klatka. Od owego popołudnia, kiedy po powrocie ze szkoły postanowiłem, że nie pójdę tam nigdy więcej, kiedy wziąłem garść proszków, popiłem koniakiem z barku i odkręciłem gaz...

Wszystko przez jedno głupie pytanie, zadane przez jasnowiąz Jadwigę z IIc, w której podkochiwali się wszyscy, nie wyłączając pana od geografii – starego kawalera, no i mnie – odmieńca. Dzikka była w naszej szkole od niedawna, po rozwodzie swoich starych przeprowadziła się razem z ojcem z Wrocławia. Poza tym, ze względu na urodę, miała przewrócone we łbie, toteż łatwiej przyszło jej zapytać o to, co zapewne innym kolegom od dawna cisnęło się na usta. Rzuciła więc na wpół drwiąco, kiedy jako ostatni przywlokłem się na metę biegu przełajowego:

– A właściwie dlaczego nie ćwiczysz z dziewczynkami, Marczku?

*

Nie wiem, jak przeniknąłem przez podwójne szyby. Może po prostu ich nie zauważyłem. Może krzyk matki nad moim bezwładnym ciałem, przypominający skowyt śmiertelnie ugodzonego zwierzęcia, sprawił, że moja dusza uciekła bez zastanawiania się nad konsekwencjami. Oderwała się od ciała, wzbijała ponad mamą nerwowo wykręcającą numer telefonu pogotowia. Nie odczuwałem strachu jak poprzednim razem, przepelniała mnie mieszanina ciekawości i poczucia swoistego wyzwolenia. Leciałem aleją złotorudych klonów

ku miastu. Na wysokości wznoszonego supermarketu zauważyłem pędzącą na sygnale karetkę.

- Zdaży! - przemknęło mi przez myśl.

Nie zmartwiłbym się, gdyby zdażyła. Prawdę powiedziawszy, pragnąłem uciec, nie umrzeć. Chciałem jedynie już nigdy nie znaleźć się w sytuacji równie poniżającej. Nie wstydić się, w dodatku za sprawą osoby, w której byłem szaleńczo zakochany. Ponadto żywiłem duże obawy o los samobójców, dla których, jak twierdził ksiądz Kamil, królestwo niebieskie zamknięte było raz na zawsze.

Przyśpieszyłem swój lot jeszcze bardziej. Szybowałem teraz nad Wisłą, w dole skrzyły się w słońcu lachy i starorzeczka, gdzie przyjeżdżałem z Jackiem i Maćkiem, zanim mama zdecydowała, że nie wsiądę więcej na rower.

Początkowo miałem ochotę sprawdzić, jak wysoko jestem w stanie się wznieść, kierowałem się wprost ku iglicy Pałacu Kultury, jednak klucz lecących gęsi sprawił, że zmieniłem zdanie. Przecinając szyk ptaków, pomknąłem jak odrzutowiec ku wysokim blokom na moim brzegu rzeki. Mama opowiadała, że kiedyś było tu trawiaste lotnisko aeroklubu. Podobno kiedy była w ciąży ze mną, chodziła tam z tatą na długie spacerki i obserwowała pochód nacierających prostopadłościanów z betonu. Właśnie na jedenastym piętrze jednego z takich pudeł, przy alei imienia któregoś z komunistycznych kacyków mieszkała Jadwiga. Jeśli przez nią przeniosłem się do bezcielesności, mogłem przynajmniej odwiedzić ją bez uprzedzenia.

Mówi się, że w okresie dojrzewania szczególnie często zdarzają się sny, w których latamy. Nie byłem od nich wolny. Potrafiły mi śnić się tak barwnie, tak przekonująco, iż

nieraz po przebudzeniu wydawało się, że posiadam tajemnicę Ikara. Teraz jednak naprawdę latałem. Bez konieczności machania rękami. Tym bardziej że nie miałem rąk...

Do mieszkania Dzidki, składającego się z dwóch pokoi z niewielkim balkonem, mikroskopijnej kuchni i ślepej łazienki, dostałem się przez niedomknięty oberluft w oknie jej sypialni, małej klitki, pełnej plakatów i futrzanych zabawek. Na łóżku leżały szkolne łaszki, stanik nie pierwszej świeżości, majteczki. Zza ściany dobiegał szmer prysznic. Nie mogło być lepiej...

- Dzida! - dobiegł z pokoju obok niski męski głos. - Dzida!

W korytarzu niemal zderzyłem się z nastolatką. Miała mokre włosy i szła bosa, owinięta ręcznikiem. W głównym pokoju zobaczyłem najpierw otwartą butelkę, potem tegoż mężczyznę o nabiegłej krwią twarzy. Kiedy wstał, ze zgrozą skonstatowałem, że nie ma spodni.

- Dzida, chodź wreszcie do tatusia! - powiedział przymilnie.

Ocknąłem się w szpitalu, zboleały i słaby. Żyłem i przysiągłem sobie, że żyć będę. Nie tylko ja miałem swe tajemnice, kalectwa, ułomności.

Do szkoły jednak nie wróciłem. Nie wiem, jak mama to załatwiła, ale umożliwiono mi korespondencyjne ukończenie liceum. Później uczyłem się już wyłącznie w domu. Dla siebie. I dla mamy. Jak spędzałem czas? Czytałem, prowadziłem dom - nauczyłem się całkiem nieźle gotować, czasami robiłem zakupy. Wybierałem w tym celu supermarket, w którym wszystko, czego było mi potrzeba, zgarniałem z półek i szedłem do kasy, bez potrzeby otwierania ust.

Z biegiem lat rosła we mnie niechęć do mówienia, nienawiść do sopranu, który wydobywał się z mojego gardła. Wychodziłem obładowany siatkami z Géanta czy Auchant, ale wolałem nie brać taksówki. A jeśli okoliczności, na przykład wyjazd mamy lub silna grypa (zapadała na nią cyklicznie, dwa razy do roku) zmuszały mnie do robienia bieżących sprawunków, wybierałem jakiś odleglejszy sklepik. Tam z powodzeniem udawałem niemowę, pokazując listę zakupów wykaligrafowaną na karteczce.

A poza tym – czytałem, czytałem, czytałem. Powieści, reportaże, biografie sławnych ludzi... Czasami zdarza mi się nawet teraz, w bezksiężycową noc, kiedy nic nie absorbuje mej uwagi, że wracają te miliony przerzuconych kartek. Obrazy, sceny, dialogi, fakty... Nie chwałąc się, zdobyłem przez te lata pokazną wiedzę humanistyczną. Oczywiście, chciałem pracować, choćby przy pomocy Internetu, który osłoniłby moją ułomność, ale mama uważała, że nie muszę.

W sumie dobrze było nam we dwójkę. Razem zwiedzaaliśmy świat: Wenecję, Paryż, Londyn, Madryt. Czasem, kiedy dziś wspominam te eskapady, czuję się, jakbym oglądał album z trójwymiarowymi obrazami: drobne fale na Canale Grande uderzają w burty wynajętej gondoli, spod oślepiającego białych murów bazyliki Sacré Coeur spoglądamy na położony u naszych stóp Paryż, idziemy korytarzami londyńskiej Tower, nieomal fizycznie odczuwając rozgrywające się tu kiedyś dramaty, i odpoczywamy zmęczeni skwarem w cienistych galeriach Alhambry przepelnionych zapachem cyprysów i eterycznych olejków.

Mogliśmy sobie na to pozwolić. Mama, wzięta dziennikarka i popularna pisarka, nawet po przejściu na emeryturę

zarabiała wcale nieźle, mieliśmy też pieniądze pozostawione przez ojca, umieszczone na zyskownych lokatach.

- Doskonał się wewnątrznie, twórcz - powtarzała mi, kiedy ponawiałem propozycję podjęcia pracy zarobkowej. - Całe życie tyrałam po to, byś nie musiał szamotać się ze światem.

Niestety, poza zdolnością gromadzenia wiedzy nie znajdowałem w sobie żadnych talentów. Z lekcji muzyki zrezygnowałem, przekonawszy się o kompletnym braku słuchu. Podobnie było z malowaniem. Dwie lewe ręce to kiepskie zadatki na nowego Leonarda. A literatura?

Do pisania przymierzałem się wielokrotnie. Tworzyłem wiersze, pisałem do szuflady krótkie opowiadanka i złote myśli. Ale chyba brakowało mi dość charakteru, ognia, wiary w to, że mam coś temu światu do przekazania. A babrać się w swym kalectwie, rozpamiętywać niedolę, użalać się nad sobą - nie chciałem.

Co w takim razie nadawało sens memu życiu? Nie należałem przecież do ludzi realizujących się bez reszty w ścieraniu kurzów, pucowaniu samochodu (oboje z mamą wyznawaliśmy praktyczną zasadę „brudnych nie kradną!”) czy w mozolnym pastowaniu butów, nawet tych nigdy nieużywanych. Głupio przyznać - żyłem marzeniami. Jak menele pod spożywczym, niezadający sobie sprawy z mijających lat i szans, tak i ja czekałem na wielką zmianę, która pewnego dnia nada nowy sens mojemu życiu. Powróci ojciec, wynajdą lek na moje kalectwo...

I nie ograniczał tych pragnień fakt, że pierwsze wielkie marzenie, o lekarstwie dającym nieśmiertelność, już się nie zrealizowało. Pamiętam, miałem dziesięć czy jedenaście lat, gdy po raz pierwszy pomyślałem o śmierci. Zdarzyło się to

przy okazji wylewu babci. Koszmar tamtej nocy przez wiele lat mącił mi sen, zanim odsunęły go na bok inne koszmary. Nasz mały domek wypełniała gorączkowa krzątanina, przybył lekarz, jacyś kuzyni, mama zupełnie straciła głowę... A ja, w pokoju obok, bojąc się wytknąć nos spod kołdry, modliłem się. Żarliwie. I chyba ostatni raz z taką ufnością. Modliłem się o dziesięć lat życia dla babci. Bo potem nauka na pewno wynajdzie lek zapewniający wieczne życie, zrobi z babci znów małą dziewczynkę, młodszą ode mnie, i będziemy razem bawić się w naszym ogrodzie ku zazdrości rówieśników.

Muszę powiedzieć, że Pan Bóg mnie nie rozczarował – babcia żyła dokładnie dziesięć lat od tej nocy. Co do medycyny i farmakologii – te zawiodły na całej linii. Dziś jesteśmy równie daleko od pastylki na życie wieczne, co za czasów Hipokratesa.

Tymczasem, marząc o wielkiej zmianie, która odwróci fatalny bieg wydarzeń, nie wziąłem pod uwagę, że może to być radykalna zmiana na gorsze.

W dwudziestej siódmej wiosnie mego życia nadszedł ów fatalny kwiecień. Mama umarła po męsku, tak jak żyła. Zawał dopadł ją za kierownicą jej czerwonej hondy, kiedy w korku wracała z Makro ze świątecznymi zakupami dla synka.

*Tyle jeszcze chciałbym, mamo, ci powiedzieć,
Popatrz, usta mam spuchnięte od milczenia,
Kiedy wreszcie się spotkamy, jeszcze nie wiem,
Ale mówię ci po prostu do widzenia!*



II

Szukaliście może pracy? Nigdy? No to serdecznie wam gratuluje. Ja przez cały rok po śmierci mamy nie robiłem nic innego. Czytałem ogłoszenia i składałem oferty. Przeżyłem momenty nadziei, kiedy docierały do mnie pisemnie miłe odpowiedzi na moje pisemne propozycje, i chwile rozpaczy, gdy podczas rozmowy kwalifikacyjnej widziałem spojrzenia rzucone na boki, miny pełne zakłopotania i gdy wreszcie padały standardowe teksty: „Odezwiemy się do pana”, „Chwilowo proszę uzbroić się w cierpliwość...” Dwa razy zainteresowali się mną pederasty, raz lesbijka wysoka jak drabina. Tydzień przepracowałem na stacji benzynowej, miesiąc w bibliotece. I nie wytrzymałem. Nikt tam nie traktował mnie normalnie – jedni z politowaniem, drudzy ze współczuciem, wszyscy z dwuznaczną ciekawością.

Po każdej z podobnych klęsk dłuższy czas nie wychodziłem z mieszkania. Niestety, w końcu musiałem. Biedna mama, póki żyła, utwierdzała mnie w przekonaniu, że nigdy nie będę musiał zabiegać o pracę. Trudno o większą pomyłkę. Gdy w jakiś czas po pogrzebie przejrzałem domowe rachunki, od których dotąd trzymała mnie z dala, pojąłem, że

jestem bankrutem. Połowę oszczędności straciliśmy na giełdzie, wiara w bezpieczne odsetki od lokat rozwiała się wraz ze spadkiem oprocentowania i wprowadzeniem podatku ministra Belki. Coraz drobniejsze grosze przychodzące z funduszu Rentier nie wystarczały na pokrycie bieżących kosztów światła, gazu, telefonu. Zresztą i to wkrótce się skończyło. Na hipotece wisiał monstrialny kredyt. Samochód, piękna honda civic, okazał się w większej części niespłacony. Pozbyłem się go i za resztkę uzyskanych pieniędzy dociągnąłem do kolejnej Wielkanocy. Wiedziałem, że jeśli nie znajdę jakiejś roboty, nieuchronną konsekwencją stanie się przejadanie zawartości kont, potem sprzedaż bibelotów, książek... Tylko kto dzisiaj kupuje książki?

Bliższej rodziny nie miałem, a prosić o pomoc dalszą? Byłem na to zbyt dumny.

Zastanawiam się, co mama uczyniłaby na moim miejscu. Nie mam pojęcia.

Z pewnością dałaby sobie radę. Zawsze sobie dawała. I wówczas, kiedy frachtowcem opłynęła kulę ziemską, przeżywając na Kanale Sueskim kulminację wojny sześciodniowej i w 1982, gdy przedzierała się przez kordony ZOMO z paczkami dla taty, w ośrodku dla internowanych w Barczewie. W chwili śmierci miała prawie sześćdziesiąt pięć lat, ale jej energia, optymizm i młodzieńcza sylwetka sprawiały, że nigdy nie dopuszczałem do siebie myśli o jej odejściu. Zwłaszcza tak wcześnie.

Ofertę ostatniej szansy znalazłem w skrzynce na listy, spuchniętej zazwyczaj od reklamowego śmiecia, tym razem zawierającej jedną barwną ulotkę. Jakaś zachodnia firma farmaceutyczna poszukiwała współpracowników z wykształce-

niem ogólnym i znajomością języków. Na ulotce widniała nawet mapka dojazdowa dla zmotoryzowanych. Ośrodek mieścił się w środku lasu, trzy kilometry marszu od mego domu.

Postanowiłem jeszcze raz spróbować. Jeśli i tym razem mi się nie uda, wynajmę część mieszkania sublokatorom. W końcu nie dalej jak przed tygodniem sąsiadka Sierzputowska pytała mnie, czy nie znalazłbym jakiegoś lokum dla jej kuzyna komputerowca. Omal nie zapytałem: „Dlaczego nie przygarnie go pani do siebie?“, ale ugryzłem się w język. Sierzputowska miała opinię nieznośnej gaduły, plotkary, z którą z najwyższym trudem wytrzymało stado jej kotów. Z pewnością pomysł wynajmu rodzinnych kątów nie spodobałby się mamie, ale jeśli miała inny koncept, mogła sypanąć mi z nieba złotą manną, lub choćby tantemami z ZAIKS-u!

Budynek firmy, masywny, wielopiętrowy mutant polskiego dworu, stał w samym sercu Mazowieckiego Parku Krajobrazowego i poza tabliczką „Uwaga zły pies” nie miał żadnych innych wywieszek. Brama była gościnnie rozsunięta, a na obszernym parkingu bieląło tylko jedno bmw. Za kolumnkami zauważyłem nowoczesne szklane drzwi, które rozsunęły się automatycznie. Hol robił wrażenie tyleż przytulne, co bezosobowe. Był pusty, jeśli nie liczyć wylegującego się na dywaniku, między palmą a gaśnicą wielkiego psa nieznannej mi rasy, który na mój widok uniósł kudłaty łeb i przez chwilę obserwował mnie zielonkawymi oczyma jaguara. Oględziny widać wypadły korzystnie, bo prędko opuścił łeb i zapadł w drzemkę. Tymczasem za gustownym kontuarem pojawiła się hostessa, zgrabna, smagła, niewątpliwie ze